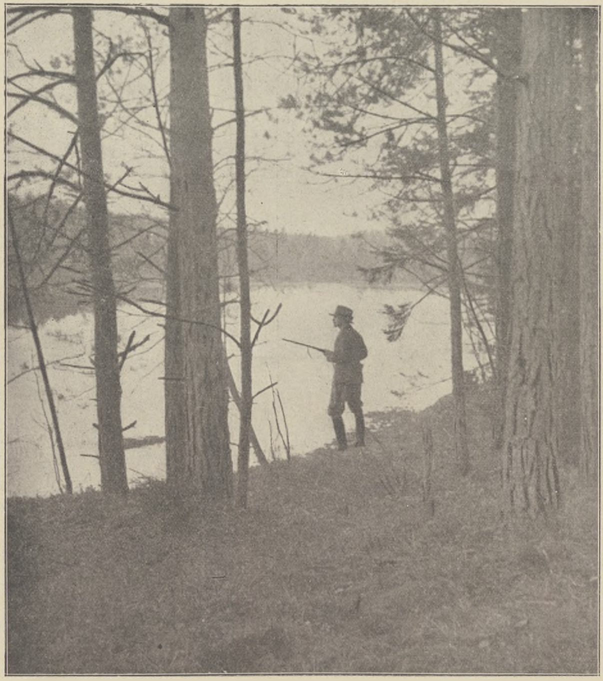
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Nad leśnem jeziorkiem. (Wileńszczyzna). Fot. Jan Bończa Markowski.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Nr. 28 (683) 9 LIPCA 1932 R.

OD ADMINISTRACJI.

Pozwalamy sobie przypomnieć, że czas już odnowić prenumeratę na II półrocze, III kwartał lub miesiąc lipiec.



Wśród Tatr. Fot. C. Mańkowski

O HIERARCHJI AUTORÓW W ŁOWIECKIEJ LITERATURZE PIĘKNEJ.

W N-rach 20 i 21 „Łowca Polskiego" ukazał się dość obszerny artykuł Pana Michała K. Pawlikowskiego, zasłużonego działacza i cenionego publicysty łowieckiego na temat: „O pięknej literaturze łowieckiej w Polsce".

Nie mam zamiaru pisać krytyki tego swadliwego artykułu, wygłoszonego w siedzibie Związku literatów w Wilnie, ale nasunął mi on pewne uwagi w sferze wyłaniania i usegregowania autorów oraz podziału wogóle literatury łowieckiej na takie, a nie inne grupy, i dlatego pragnę wyświetlić moje osobiste wątpliwości, spowodowane oceną p. Pawlikowskiego.

Pozatem, gdy już artykuł niniejszy wysłałem do Redakcji „Łowca Polskiego" — przeczytałem w N-rze 24 odpowiedź Pana Władysława Zabiełły, więc chcę obecnie dodać, że nie występuję ani w imieniu większości, ani mniejszości myśliwych, ale tylko w swojem własnem.

Mojem zdaniem, jeśli się mówi już o autorach współczesnych, a nawet żyjących, — należałoby przedewszystkiem podzielić naszą literaturę myśliwską na dwie grupy: na przedwojenną i powojenną.

Podział taki nie oznacza bynajmniej chronologicznego ukazywania się poszczególnych utworów, których jakość miałaby być uzależniona wybuchem lub zakończeniem wojny, niewolą lub odzyskaniem niepodległości. Nie.

Chodzi mi o mentalność autorów, o ich psychologję, o ich mniej lub bardziej zakorzenioną, a w utworach przebijającą się zawsze kulturę ducha, ducha swojskiego, nawskroś polskiego, będącego wyrazem i rezultatem wielopokoleniowego pielęgnowania tradycyj myśliwskich.

Do tej grupy przedwojennej niekoniecznie musi należeć autor, ukazujący swoje oblicze wewnętrzne przed 1914 r., — owszem, autorowie młodsi, występujący już po 1918, czy 1920 r., też należą do tych dawniejszych, o ile utwory ich cechują wspomniane walory.

Taki autor przedwojenny dbał przedewszystkiem o czytelnika. Jego myśl przewodnia albo dążyła do przysporzenia zasobu wiadomości myśliwsko-naukowo-obserwacyjnych wśród prenumeratorów pism perjodycznych, albo też tworzyła z fantazji i wyobraźni, za poparciem intuicji, jakieś prawdziwie artystyczne w formie i treści obrazki, których jedynem zadaniem było wydobycie i utrwalenie w szerokich rzeszach, żądnych pisanego słowa, — wrażenia piękna.

Ten autor musiał posiadać: wiedzę, talent myśliwski, talen pisarski i sumienność człowieka, przystępującego skromnie do pracy, do której posiadał odpowiednie przygotowanie.

Tak było dawniej. A — dziś?

Dziś może nie braknie talentów pisarskich, ale sumienność w podejmowaniu jakiejkolwiek pracy — nie

tylko literackiej — zanikła tak, jak zanikł przez wojnę np. żubr.

Nieszczęsna dziedzina myślistwa stoi teraz otworem dla wszytkich, którzy pragną z niej czerpać najróżnorodniejsze korzyści natury czysto osobistej.

Jeden wziął się do łowiectwa, bo jako nowy, powojenny pan, uważa, iż musi polować; drugi — dlatego, że, udając myśliwego, zyskuje wstęp do środowiska, przedtem niedostępnego; inny — gra rolę „fachowca", „znawcy", żeby mógł nasycić się przyjemnem strzelaniem na wystawnych polowaniach; niektórzy wdarli się do „bractwa Św. Huberta", jak je nazywa pisarz „nestorowaty", i żerują na cudzej cierpliwości i niedołęstwie, sprytnie żonglując bezrasowym tupetem, arogancją i świadomem terroryzowaniem elementu, przesiąkniętego rzetelniejszą kulturą.

Bezwzględnie winą jest bierność i tolerowanie tego stanu, a nawet przebywanie wśród duszącej atmosfery bez reagowania na wszelkie pchnięcia, mniej lub więcej agresywne, w stosunkach jako tako cywilizowanego środowiska.

Powszechne to zjawisko nie jest wyłącznością świata myśliwskiego. Sięga ono głęboko w całokształt życia narodu, ale siłą wypadków nie ominęło też i łowiectwa.

Taki stan wywołał bardzo niepożądane zjawisko panoszenia się ignorancji i pretendowania do zajmowania za wysokich szczebli w życiu społecznem, państwowem, zarobkowem, fachowem i kulturalnem — przez jednostki agresywne, chciwe splendoru, wpływów, t. j. władzy, a przedewszystkiem oczywiście gotówki.

Ten bezkrwawy bolszewizm dotknął, a może i powalił na długie lata sztukę, a jeśli jej nie zgnębił ostatecznie, to w każdym razie wstrzymał jej rozwój, jej wspaniały pochód na długo.

Jak w Rosji, tak i gdzieindziej, rasa ludzka, predysponowana do spełniania całkiem innych funkcyj, przerabiać zaczyna po swojemu dorobek szeregu pokoleń kulturalnych, siejąc tymczasem chaos i zamęt, zapędzający przodowników sztuki, kultury i wiedzy w otchłań niedoli materjalnej, lub zmuszając ich do wykonywania pracy, niezbędnej dla utrzymania się przy życiu.

Warunki takie sprowadziły obniżenie poziomu wymagań kulturalnych i stworzyły niższe kryterja, służące do określenia poziomu i wartości dzieł intelektu i ducha.

Możemy chyba otwarcie powiedzieć, że to, co dawniej np. w malarstwie uchodziło za dzieło pierwszej klasy, uchodzi i dzisiaj, ale bohomazy, nagradzane obecnie na wystawach, czyż mogłyby wogóle być pokazane obok dzieł, naprawdę wartościowych i pięknych z doby przedwojennej?

To samo dotyczy rzeźby, jaskrawiej uwydatnia się w teatrze, a dla szerokiego ogółu mało widoczne jest w literaturze.

Tak jest i w życiu myśliwskiem.

Literatura — zwierciadło tego życia — czyż jest inna?

Iluż możemy liczyć autorów myśliwskich, uprawiających sztukę dla sztuki, bez pytania, czy przyniesie ona korzyści w postaci tak pożądanego dzisiaj grosza, sławy, stosuneczków i polowanka?

Jeśli tak znakomity pisarz, jak Zygmunt Bartkiewicz, nieporównany stylista i mistrz naszej pięknej mowy przestał pisywać, mówiąc, że dziś nie ma dla kogo pisać, to w tych gorzkich słowach wspaniałego językoznawcy kryje się głęboka, acz bolesna dla niektórych prawda.

Ta smutna szczerość pisarza wielkiej miary wywołana zapewne została przez wspomnienie lat minionych i upodobania współczesnego czytelnika.

Upadek książki polskiej, upadek dzieł wartościowych, cennych, pięknych, czyż nie został spowodowany zalewem t. zw. sensacyj — w literaturze ogólnej?

Mówimy sobie często, że widocznie tak musi być, że taki jest porządek rzeczy. Zgoda.

Tak jest i tak musiało być, ale czy tak jest dobrze, czy tak jest lepiej, czy tak jest korzystniej, przyjemniej?

Stanowczo — nie.

Piszących z potrzeby wewnętrznej, z głębokiego zamiłowania jest bardzo niewielu. Zato „gawędziarzy", „autoreklamiarzy" „wspomnieniowców" (i tych ostatnich ziemia jeszcze nie pochłonęła) — jak wody na Polesiu.

W „Łabędziej Wodzie" powiedział Dygasiński: „pies, czy człowiek — może okazać mistrzostwo w tem tylko, co bardzo szczerze ukochał".

Sądzę, że literatura piękna, o której tutaj mówimy, powinna być właśnie dziełem mistrzów i dopiero wtedy może zasłużyć na to miano.

Wiemy, jakim warunkom musi odpowiadać utwór pisarski, aby mógł być zaliczony do literatury pięknej i do literatury łowieckiej — jak nazywa p. Pawlikowski — pierwszej klasy.

Jeśli się mówi o literaturze pierwszej klasy, to musi ona posiadać wybitne cechy swej jakości zarówno w treści, jak i w formie.

Podmiotem literatury łowieckiej musi być przyroda, myśliwy, lub zwierzęta i przedmioty, mające coś z myślistwem wspólnego.

Na taką definicję chyba się zgodzimy.

Autor, pragnący zająć miejsce w „pierwszej klasie", musi przedewszystkiem znać gruntownie podmiot, to znaczy musi posiadać — prócz talentu literackiego — duży zasób wiedzy przyrodniczej, znajomości psychologji myśliwego, psa, zwierzyny i t. p.

Czyż najbardziej utalentowany literat może stworzyć naprawdę rzecz piękną bez zasobu odpowiedniej nauki w przedmiocie, przez niego omawianym?

Zdaje się, że nie.

A myślistwo jest tą dziedziną, której dotąd nie chcą wyraźnie nazwać sztuką, i dlatego każdy, kto sobie nabył strzelbę, chce być uważany za myśliwego. W literaturze naszej — każdy, kto umie trzymać pióro w rękach, już jest pisarzem myśliwskim.

Niechby geniusz pisarski spróbował w literaturze ogólnej, literaturze pięknej — mówić najcudniejszą formą o przedmiocie nieznanym, — krytyka uśmierciłaby go przy pierwszem wystąpieniu publicznem.

W myślistwie rzecz się ma inaczej, a inaczej — szczególnie po wojnie.

Dlaczego?

Trudno pisać cały traktat o zmianie wartości, o obniżeniu poziomów, o takich lub innych przemianach socjalnych, psychicznych, ale dość, że świat myśliwski

musiał się widocznie poddać tym wpływom, którym uległ w bardziej może silnym stopniu, niż nam się wydaje.

Warunkiem, koniecznym dla literatury łowieckiej, jest opracowanie tematu, zgodnego z nauką myślistwa, i nie może być mowy o zaklasyfikowaniu utworu do wysokiego poziomu, jeśli formie nawet nic zarzucić niepodobna, ale fabuła podaje wiadomości, niezgodne z prawdami przyrodniczemi i myśliwskiemi.

Monopol literatury łowieckiej polega na tem, że utwór łowiecki piękny staje się jednocześnie pięknym w literaturze ogólnej — odwrotnie zaś nie bywa dla powodów w tej chwili przytoczonych.

Świat myśliwski, tak, jak każdy, powinien dążyć do udoskonalenia swej sztuki pisarskiej, do podniesienia jej poziomu na najwyższe gałęzie wiedzy.

Entuzjazm i talent pisarski w literaturze łowieckiej, jeśli ona ma być piękna, nie wystarczą, bo cóż poradzić na to, że od klasycznego pisarza myśliwskiego wymaga się jeszcze i znajomości podstaw nauk przyrodniczych, a także i talentu (tak — talentu) myśliwskiego, o którym Weyssenhoff w „Pieśni puszczy" powiedział: „bez talentu nikt nie dojdzie do wyniku, a nawet do smaku wielkich łowów".

Kornel Makuszyński też nieraz coś pisał o polowaniu, a do tytułu pisarza myśliwskiego, o ile wiem, nie rości sobie pretensji, choć wszyscy przyznają, że każde jego głupstewko lśni blaskiem perły doskonałego humoru, formy i nieposledniego talentu.

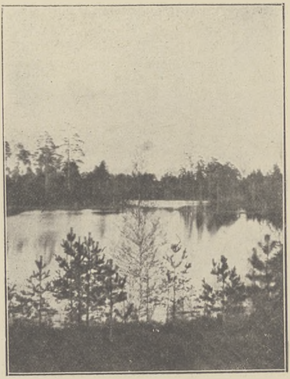
Brak tego właśnie talentu łowieckiego nie da wprowadzić F. A. Ossendowskiego do grona autorów pierwszej klasy, pomimo, że jest on bezwarunkowo pisarzem „przedwojennym" i bardzo miłym narratorem, który, niestety, o samem łowiectwie pisze „po łacinie".

Tak samo Ejsmond — nie będzie nigdy przodował Korsakowi i Zaborowskiemu, chociaż błyskotliwy jego talent i płodność w zgrabnych wierszach, bajkach i tłómaczeniach — postawiły tego pisarza w polskiej literaturze pięknej na poczesnem miejscu.

Literatura łowiecka przedewszystkiem powinna dbać o czystość języka polskiego i o treść, tchnącą znawstwem przyrody.

Dlatego — ja osobiście — wolałbym niektórych z wymienionych przez p. Pawlikowskiego autorów nie wprowadzać do literatury pięknej wogóle, pozostawiając im miejsce w literaturze łowieckiej, — natomiast, jako myśliwy, muszę bronić stanowisk, należnych przedewszystkiem Korsakowi, następnie Zaborowskiemu, a może w ten sposób znajdzie się gdzieś i wolne miejsce dla Bartkiewicza, którego kunsztowność języka nie da się pogrążyć w niepamięć, lub stawić obok Al. Janta-Połczyńskiego.

JERZY DYLEWSKI.



Puszcza Rudnicka. Leśne jeziorko w Porakieciach.
Fot. S. Oldak.

GROŹNA INWAZJA.

Przed paru laty pisałem w „Łowcu Polskim", zastanawiając się nad donioslością propagandy łowieckiej, te słowa: „Polski Związek Stow. Łow. wyłoni i utworzy przy centrali warszawskiej Sekcję propagandy łowieckiej. Sekcja propagandy będzie miała na celu... zorganizowanie przy pomocy lokalnych działaczy łowieckich — literatów — stałej, że tak powiem, „obsługi łowieckiej" wszystkich poczytniejszych czasopism w całej Polsce: chodzi o to, by każdy poczytniejszy dziennik, tygodnik i t. d. umieszczał w regularnych odstępach stały dział łowiecki"... *).

Czy, pisząc te słowa, mogłem przypuszczać, że moja mrzonka o „obsłudze prasowej łowieckiej" ziści się dość prędko, ale — w sposób dość oryginalny... Wiemy wszyscy, że od pewnego czasu — mniej więcej od roku — niektóre poczytne ilustracje polskie, ze „Światowidem" na czele umieszczają coraz częściej różne „impresje" łowieckie, ozdabiając je efektownemi fotosami. Impresje te są w 100% pospolitą, obliczoną na nieuctwo lub laicyzm czytelnika, z amerykańska ofenzywną i z amerykańska bezczelną — grafomanją... Impresje te, będące najpospolitszem bujaniem publiki na nutę niemiłosiernie fałszowanych melodyj myśliwskich, przyprawiają czytelników-myśliwych o irytację i podziw. Bo, czyżbyśmy nie mieli w Polsce całego zastępu uzdolnionych, ciętych i rasowych pisarzy myśliwskich? Gdzież są oni i czemu milczą? Czemu na arogancką ofenzywę grafomanji łowieckiej nie odpowiedzą kontrofenzywą?

Smutno się robi, czytając na łamach „Światowida" elukubracje łowieckie o pościgu wilka za jeźdźcem, ostrzeliwującym się z Colta, o ogryzającej się w biały dzień myśliwemu wydrze, albo o jakichś „pośladach zajęczych" (?), węszonych przez wilka...

Smutno się robi, że świetny komedjopisarz i znany

*) „Ł. P." Nr. 44 z r. 1930

myśliwy, p. Stefan Krzywoszewski, dopuszcza, by na łamach redagowanego przezeń „Świata" ukazały się wypociny o tokach głuszcowych, na których ubija się błękitne (tak!) głuszce (Nr. 21 z r. b.).

Smutno. Już nie Warszawa, Wilno, Poznań, Lwów i Kraków, lecz każde niemal większe miasto w Polsce więzi w swych murach conajmniej po kilku zdolnych pisarzy myśliwskich. Lecz pisarze ci — jeżeli chodzi o poczytną a wszechpotężną prasę powszechną — siedzą, jak myszy pod miotłą, pozwalając panoszyć się gryzipiórkom, którzy ani talentu pisarskiego, ani minimalnej wiedzy łowieckiej nie mają.

„Obsługa łowiecka" szwankuje, lub raczej — wcale jej niema! I ten brak jest przyczyną, że czytamy w „Świecie" o błękitnych głuszcach, lub, że oglądamy w kinie sparodjowane „Puszcze" z głuszcem, kiwanym na drutach...

Zła propaganda jest gorszem zjawiskiem, niżby tej propagandy wogóle nie było.

Dlatego też utworzenie przez Polski Związek Stow. Łow. Sekcji propagandy i zorganizowanie ladajakiej prasowej obsługi łowieckiej uważam za jeden z najpilniejszych nakazów chwili!

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI.



WSPOMNIENIA Z TOKÓW GŁUSZCOWYCH W ORDYNACJI DAWIDGRÓDECKIEJ.

Tydzień tegorocznej wiosny danem mi było przeżyć w uroczych kniejach dawidgródeckich ordynata Karola ks. Radziwiłła.

Wielu myśliwych, z ciekawością słuchając opowiadań moich o łowieckiej tej wyprawie do pierwszej w Polsce kniei łosiowej, głuszcowej i dziczej, namawiało mnie do opisania tego. Ponieważ zarówno ustnie, jak i piśmiennie nie umiem odtworzyć należycie tych pięknych chwil, więc rzeczywistość jednakowo będzie na tem stratna.

Wobec tego, aby podzielić się z resztą ciekawych, podejmuję niniejszą, nieudolną próbę.

Mnie osobiście te błogie dni pozostaną w pamięci i w sercu, jak najmilsze chwile, których się nie zapomina.

Nieco opóźniony przyjazd mój nie pozwolił już odstrzelić przeznaczonej dla mnie ilości głuszców. Również i wielkie rozlewiska, potworzone wiosenną powodzią, wpłynęły ujemnie na ogólną ilość upolowanych kogutów w całej ordynacji, choć stan ich ilościowy pozwalał na dużo większe możliwości.

Wszyscy myśliwi na przeznaczonych dla siebie tokowiskach stwierdzili, iż głuszców jest przeważnie więcej nawet, niż podano w raportach straży leśnej, która w obawie konsekwencji niedokładnego obliczenia, woli nadwyżkę pozotawić w rezerwie.

W drodze ze stacji kolejowej dowiedziałem się od wiozącego mnie stangreta, iż wielu myśliwych już rozjechało się po lasach i niemało upolowano już głuszców.

Naturalnie, podobne wiadomości podniecają znakomicie.

Zbliżam się i ja do oczekiwanych rozkoszy, a pogoda i bliskość już gościnnych Mankiewicz usposabia mnie wybornie.

Do odległego o 20 zgórą kilometrów nadleśnictwa wyekspedjowany zostałem łodzią motorową przez szerokie rozlewiska wód Horynia i Lwy. Samo przebycie tej drogi sprawia już wiele przyjemności i dostarcza miłych wrażeń.

Łódź mknie gładko, prując wodę; motor z warkotem pcha z szybkością, większą od ostrej jazdy końmi. Z tyłu, za łodzią, co raz więcej rozszerza się wachlarz rozgarnianej wody, która pieni się, mieszana skrzydłami motoru.

Aby trzymać się potrzebnej głębokości, śledzić należy, by nie zboczyć z właściwego koryta rzeki, która w fantastycznych zakrętach wije się wśród rozlicznych drzew i zarośli, a że wody szeroko rozlały, więc sama rzeka zamaskowana jest tak, iż dla pewności drogę wyznaczono słomianemi wiechami; na drzewach, łozie, lub specjalnie zatkniętych tyczkach.

Na licznych zakrętach, miejscami dość ostrych, zwalnia się, aby skręcić we właściwe miejsce. Często doznaje się niespodzianki: właśnie wśród gęstych krzaków łozy jest parę luk do wyboru i skręcamy nie w tę, gdzie by się zdawało, ale słomiane znaki dowodzą, że jedziemy dobrze i na prostszym odcinku łódź odzyskuje straconą szybkość.

Mijamy oblane wodą zagrody, grupy drzew i pojedyńcze dęby o potężnych konarach; na wielu drzewach, wśród gałęzi, widać przymocowane siwe, grube dzwona kloców, służące dla pszczół, jako ule.

Na krzakach łozy, przeszło metr nad wodą, poczepiane siano wskazuje pierwotną jej wysokość,

a pozostałe w wielu miejscach kloce, drągi i żerdzie świadczą, jak woda niosła wszystko, co po drodze zagarnęła.

W rozmaitych kierunkach przelatują kaczki dzikie, prowokują do nabicia strzelby, ale, płoszone warkotem motoru, podnoszą się poza obrębem strzału.

Po półtoragodzinnej jeździe, zbliżamy się do wsi; skręcamy w stronę brzegu i motor cichnie, na płytszej wodzie podniesiony i wyłączony z roboty, a łódź z rozpędu zarzuca dziób na ląd.

Pierwszy etap jazdy skończony.

Dalej zabieramy rzeczy na oczekującą furmankę i przez las dostajemy się do leśnictwa.

Tu oddany zostaję pod opiekę przeznaczonych dla mnie gajowych, z którymi przeprawiam się łódką na drugą stronę Myszanki, gdyż, choć wysoki most ocalał, groblę rozmyła szeroko rozlana woda.

Następnie przez las dochodzimy do innej łódki, którą płyniemy najpierw po kanale wśród łąk i pastewników, potem przez gruby las olchowy, zatopiony w wodzie.

Gajowi, silnie wiosłując, pchając łódkę szybko i sprawnie kierują, aby na zakrętach nie uderzyć o drzewo, lub nie zjechać z głębszej wody.

Raz tylko łódź czubem zdążyła wpaść w łozy, skąd trzeba była wycofać się do właściwego miejsca.

Z mroku leśnej gęstwiny wydostajemy się na otwartą przestrzeń imponującego jeziora. Nieco owalna płaszczyzna, średnicy $1^1/_2$ do 2 kilometrów, barwnie błyszcząca w słońcu, szczelnie obramowana lasem, robi wrażenie wypukłej powierzchni, a falująca ciężko woda przypomina roztopiony ołów.

Pod brzegami bliżej i dalej widać kaczki dzikie, więcej ku środkowi trzymają się nurki, płoszone widokiem łódki, z daleka podnoszą się i zapadają z pluskiem na inne miejsce tafli jeziora. Jezioro to zwie się: „Zasumienie", widocznie od bogactwa sumów, które zarybiają dość głęboką wodę w dużej ilości, a jakościowo dochodzą wagi 35 kg. i wyżej.

Na drugiej stronie jeziora łódkę zostawiamy i po kładkach, już przez głuszcowe tereny, dostajemy się do celu wyprawy, do budanu, który pięknie jest położony na stoku suchego wzgórka, okolonego bagnistym lasem. Zaraz za budanem wchodzi się na kładki, które wodą w głąb tokowiska, gdzie wieczorem gajowy prowadzi mnie na zapady. Wskazał mi miejsce podsłuchów, a sam udał się w innym kierunku.

Tuż obok kładek, na potężnym wykrocie, siadam wygodnie i, napawając się głębią kniei z jej tajemniczym, wiosennym gwarem, czekam na pierwszy kontakt z głuszcem.

Co pewien czas mile rozlegają się po lesie kłótliwe, donośne krzyki, jakie wśród stada swego podnoszą żórawie.

Zapach bagna przypomina mi pierwszego mojego głuszca.

Od czasu do czasu ponure, krótkie stęknięcie puhacza oznajmia jego obecność i zbliżający się wieczór.

Kiedy rozmyślałem nad tem, iż tu może w pobliżu urodził się i wychował towarzysz moich polowań na jastrzębie — puhacz, pochodzący z dawidgródeckich borów, załopotało niedaleko gdzieś w konarach sosny; po chwili już dalej w paru miejscach, słychać było z przerwami podobne odgłosy zapadających głuszców.

Wszystko wkońcu ucichło.

Dość ciemno już w lesie, więc ostrożnie wycofuję się z zasadzki; powoli stąpam cicho po kładkach z uwagą, aby rosochą (rozwidlony kij) nie tykać zagłośno wody. Im dalej, tem śmielej stawiam kroki i zbliżam się do końca kładki, potem po stałym, suchym gruncie już niedaleko do budanu.

Drogę teraz rozjaśnia światło od olbrzymiego ogniska, przy którem krzątają się gajowi, wcześniej przybyli z podsłuchów.

Śpieszę, by usłyszeć relację, od której zależeć mają projekty na jutrzejszy ranek.

Pomimo, iż każdy z gajowych słyszał dobrze zapadające głuszce, decydujemy jednak rozpocząć od mojego.

Przy wieczornym posiłku jeszcze omawiamy detale ostatnich wrażeń: jak który głuszec zapadł, z jaką siłą, jak się odezwał i t. d. Wreszcie czas na wypoczynek, wygodnie na sianie przygotowany.

Zdawało się, że przed chwilą zasnąłem.

Już czas wstawać.



Sęp wagi 15 kg., zabity w maj. Bieniuny (pow. Oszmiana) przez p. inż. E. Woynickiego.

Ruszamy w kierunku wczoraj zasadzonego głuszca. Teraz odwrotnie: im bliżej, tem ostrożniej skradam się do miejsca, skąd powinieniem usłyszeć, kiedy grać zacznie.

O spóźnieniu się niema mowy, raczej zawcześnie znajduję się na miejscu.

Dość długo czekałem jeszcze.

Nareszcie, kiedy świt ułatwiać począł widzenie przedmiotów, dotąd otulonych w nocnej jeszcze ciemności, usłyszałem znany, a tak dawno oczekiwany i upragniony dźwięk.

Nie będę starał się opowiedzieć, lub opisać głosu tego, raczej uczucia, jakie on wzbudza wówczas; to daremny dla mnie wysiłek.

Uczucie to zrozumie tylko ten, kto słyszał grę głuszcza i przeżywał podobne momenty, kto ich nie przeżywał z opisu, czy opowieści — nie odczuje, co dzieje się w duszy myśliwego, ale najwierniej wyobrazi sobie tę sytuację, jak przeczyta: z cyklu „W sercu kniei" dr. St. Zaborowskiego — „Jak trubadur".

Oto słyszę, jak zaczyna grę swą głuszec: już z nieśmiałych początków, dość przewlekłych, przechodzi do głośniejszych, zdecydowanych tonów, rozpędził się, jakby nabierając pewności i całą pieśń prześpiewał. Potem nanowo zaczyna od początku i tak pokolei, bez przerwy, grał zapamiętale.

Wyraźnie, śmiało i dobitnie wydawał z siebie głosy, które pochłonęły moją uwagę całkowicie.

Był niedaleko, kilkanaście pieśni wystarczyło mi, aby zbliżyć się dostatecznie.

Nie starałem się upatrywać sylwetki ptaka, gdyż w tym momencie i tak na strzał było zbyt ciemno jeszcze.

Oczekując na więcej światła, wsłuchiwałem się z satysfakcją w każdy dźwięk pieśni.

Głuszec jakby starał się o to, jakby chciał pokazać, jak grają głuszce na dawidgródeckich tokowiskach.

Spostrzegłem, że grają one tutaj inaczej niż w innych stronach kraju. Po trelowaniu, przed szlifowaniem brak tu „korkowania" czyli tego, co nazywają gdzieindziej „odboj". Tej nazwy miejscowi gajowi nawet nie znają.

Wiadomo zresztą, iż głuszce różnią się w grze swojej pewnemi odcieniami. Zdumiałem się tylko, kiedy mój głuszec przeszedł już do głuchej pieśni, czyli szlifowania, i nie skończył jej, jak należało, a zerwał się i poleciał w świat, tak, że nie słyszałem nawet, gdzie zapadł.

To mnie zdziwiło i pozostałem z głupią miną. Inne głuszce odzywały się wprawdzie jeszcze, ale tak skromnie, iż żadnego nie probowałem podchodzić, bo i rozwidniło się zbytnio.

Na tem skończyły się możliwości tego ranka.

Wieczorem, ten sam głuszec zapadł, jak wczoraj, w tem samem miejscu.

Pomimo, że inne głuszce były zasadzone, dziwnie specjalną miałem ochotę wybrać się rano, właśnie na tego samego: już z nim rozpocząłem rozprawę; wiem, że gracz dobry, a pierwszy nieudany ranek podniecił mnie do ponownej próby.

Zawziętość moją wynagrodziła mi zemsta, dokonana za wczorajszy figiel.

Grał również dobrze, lecz narobił mi znowu emocji: bo kiedy już byłem na potrzebnej dla mnie odległości, a nie mogłem dojrzeć go, w tym samym momencie pieśni, nie kończąc szlifowania, jak wczoraj, zerwał się z łopotem skrzydeł. Myślałem, że i teraz odleci, ale zapadł zaraz obok i grać począł znowu bez przerwy. To dowodziło, iż tak dziś, jak i wczoraj nie zrobił tego skutkiem spłoszenia.

Bliżej podchodzić nie potrzebowałem, usiadł mi przytem tak wygodnie i widocznie, że napatrzyłem się ze spokojem, jak wykonywał ruchy, zgodnie z wydawanemi dźwiękami.

W przedostatniej jego pieśni podniosłem strzelbę. Przekonałem się, że widno dostatecznie.

Następna pieśń była ostatnią w jego życiu, nie dokończył jej nawet, bo po strzale zamilkł i spadł, rozpryskując wodę, jaka zalewała kępy, pokryte bujnym mchem i bagnem.

Wracam zatem dziś, pełen myśliwskiego zadowolenia po pomyślnie zakończonym pięknym ranku na tokowisku głuszcowem.

Na skręconej witce, przetkniętej przez górną część dzioba, niesie gajowy, moją cenną zdobycz.

Po emocjonującej przeprawie z głuszcem, nerwy stopniowo przychodzą do równowagi. Stąpam uważnie po kładkach, prowadzących do prozaicznej strony poranka: zbliżamy się do budanu, gdzie czeka posiłek i wypoczynek.

Po parokrotnem przejściu tej samej drogi, rozpoznaje się dokładnie każdą kładkę: wiadomo zgóry, że po tej węższej następuje szersza, mocno i pewnie leżąca; dalsza troszkę chwiejna; za nią już wolniej należy stąpać, przy pomocy „rosochy" po kładce, której powierzchnia zrównana jest z powierzchnią wody; teraz wiem, że wejdę na kloc, wysoko umieszczony nad wodą, dobrze umocowany. Chusta się tylko podemną, ale iść można śmiało. Przytem stwierdziłem, iż gorsza kładka ma tę dobrą stronę, że po wejściu z niej na lepszą, doznaje się większej przyjemności, niż gdyby wszystkie były jednakowo wygodne.

Na tem tokowisku mogłem jeszcze pozostać, pragnąłem jednak zwiedzić jeszcze następne, przeznaczone dla mnie tokowisko.

A przytem trochę nadzieja zobaczenia łosia zdecydowała, że przenoszę się do rewiru „Czaple".

Znowu płyniemy przez lśniącą taflę jeziora, potem dostajemy się do lasu, gdzie zręcznie wymijamy grube pnie olszyny, a następnie, po kanale, już prosto i szybko oddalam się, żegnając urocze „Zasumienie".

W innych porach roku w kanale, którym płyniemy, bywa tak mało wody, iż łódką przepłynąć nie można. Obok bagnista łąka, przez którą przejście również jest niemożliwe. Więc, aby dostęp do jeziora zapewnić, rozwieziono obciosane już kolce, które widać na przestrzeni około dwóch kilometrów, jak leżą jeden za drugim, oczekując na umocowanie ich do przygotowanych legarów.

(C. d. n.). STANISŁAW LESKI.



BEZDYMNY NABÓJ ŚRUTOWY W ŚWIETLE NAJNOWSZYCH PRÓB I DOŚWIADCZEŃ.

(Ciąg dalszy).

Proces spalania się prochu bezdymnego.

Flegmatyzowanie osiąga zwykle taki stopień, że przeważnie każdy proch bezdymny, zapalony w niezamkniętej przestrzeni słabym płomieniem (np. zapałki) spala się spokojnie, barwnym płomieniem, bez żadnych cech eksplozji.

Ten sam proch bezdymny, umieszczony w małej, zamkniętej przestrzeni, której ściany są nierozszerzalne, — pali się początkowo spokojnie, przechodzi jednak bardzo szybko w gwałtowniejszy proces spalania się czyli w eksplozję, co jest łatwe do wytłumaczenia, bo temperatura gazów, powstałych przez spalanie choćby części dawki prochu rośnie w zamkniętej przestrzeni gwałtownie i osiąga w nieproporcjonalnie krótkim czasie taką wysokość, że reszta prochu już gwałtownie się spala. Jest to t. zw. „temperatura eksplozji" (Explosionstemperatur)—dla każdego gatunku bezdymnego prochu różna.

Jeśli w miarę spalania się cząstek prochu ściany zamkniętej przestrzeni rozsuwają się (np. w naboju, w którym już początkowe parcie gazów wprawiło w ruch pocisk) — to proces przemiany prochu w gaz odbywa się mniej gwałtownie; ciśnienie gazów na ściany zamkniętej przestrzeni maleje w miarę posuwania się pocisku.

Jeżeli początkowe zapalenie prochu było za słabe — to proces ten może być tak wolny, że ściany zamkniętej przestrzeni otworzą się w jakimś kierunku zupełnie, podczas gdy tylko mała część prochu w gaz się zamieniła — np. gdy pocisk opuści lufę przed zupełnem spaleniem się dawki prochu. Jest to t. zw. „niedopał".

Wówczas pocisk wylatuje z daleko mniejszą szybkością, a mniejszy huk i słabszy odrzut są najlepszemi wskaźnikami, że nastąpił „niedopał".

Mało strzelców zdaje sobie sprawę z tego, jak niebezpiecznym przy strzale śrutowym może być taki „niedopał". Mianowicie najnowsze badania wykazały, że przy takich niedopałach bardzo często kartonik, zamykający w tulejce śrut, pod wolnem, a nierównomiernie na całą powierzchnie jego rozmieszczonem parciem słupka śrutu, nie wylatuje z lufy, lecz przytula się całą swą powierzchnią do ściany lufy i to zaraz po opuszczeniu wylotu łuski tuż przed komorą nabojową; idące po nim ziarnka śrutu przyprasowują go do ściany lufy, a przybitka prochowa również prześlizguje się po nim, nie usuwając go z lufy.

O ile ostatni podmuch gazów go nie usunie (co od stopnia przyprasowania do ściany lufy zależy), to powstaje w lufie rodzaj zatoru, a spowodowane przez to zwężenie przekroju dochodzić może do 8% przekroju lufy.

Gdy nieuważny strzelec, zamiast skontrolować wnętrze lufy, włoży nowy nabój i strzeli, a nabój normalnie eksploduje — trafia słupek śrutu zaraz na początku swego ruchu na przeszkodę, spowodowaną owym przyprasowanym do ściany lufy kartonikiem.

Ten opór zupełnie wystarcza, by napięcie gazów, nie mogących się rozszerzać, ogromnie się powiększyło i to do tego stopnia, że z reguły każda lufa, choćby z najlepszej stali, idzie w drzazgi.

Przy bardzo słabym niedopale może się zdarzyć, że gazy, prąc bardzo wolno, a nierównomiernie na przybitkę prochową, obracają ją o ca 90° i uchodzą między ziarnka śrutu, wypychając je z lufy, podczas gdy przybitka prochowa zostaje w niej i to zwykle kilka cm. przed komorą nabojową. Powstaje przez to zwykłe zatkanie lufy, które, jak ogólnie wiadomo, przy następnym strzale powoduje absolutnie pewne jej rozerwanie.



Inż. Sosnowski, nadl. w Uniejowie (pow. Turek, woj. Łd.) z warchlaczkiem, który przyszedł do ręki.
Fot. inż. Zarychta

To jest najczęściej przyczyną owych niewytłumaczalnych wypadków uszkodzenie broni, po których, badając pozostałe naboje danej sorty, stwierdza się, że „ani dawka prochu, ani śrutu nie była przekroczona" i przypisuje się winę najniesłuszniej prochowi, rzekomo źle sfabrykowanemu, a zapomina się, że krytyczny strzał poprzedzony był zdradzieckim „niedopałem".

Proces „niedopału" może jeszcze inną, bardziej przewlekłą formę przybrać — mianowicie najpierw zapala się spłonka, od niej część prochu, a dopiero po dobrej chwili reszta dawki, ale już gwałtownie.

Daje się wówczas wyraźnie odróżnić trzask eksplodującej spłonki, a potem właściwy wystrzał; jest to t. zw. „zaciąg" (long feu, Nachbrenner).

Obserwuje się go najczęściej przy nabojach, których proch wskutek nienależytej konserwacji ma nadmiar wilgoci. Jednak słaba spłonka może go także spowodować.

„Zaciąg" może mieć katastrofalne następstwa, gdy myśliwy, nie bacząc na eksplozję spłonki i myśląc, że nastąpił „niewypał", szybko celem zmiany naboju broń otworzy i dalszy ciąg „zaciągu", t. j. właściwy wypał — nastąpi już w broni odryglowanej.

Wtedy łuska wylatuje w tył i może nieuważnego strzelca pokaleczyć. Nawet przepisy wojskowe uwzględniają tę możliwość i nakazują w wypadku wystrzału jedynie spłonki wyczekać z odryglowaniem karabina.

Przy normalnym strzale odbywa się proces zamiany prochu w gaz w ten sposób, że odpowiednio do flegmatyczności danego prochu dostrojona spłonka ogarnia swoim płomieniem o temperaturze eksplozji warstwy prochu, bliżej spłonki leżące, i wywołuje ich eksplozję; ta eksplozja przenosi się na resztę prochu.

Cała więc eksplozja odbywa się stopniowo, choć trwa ledwie tysiączną część sekundy. Jednocześnie, t. j. już w pierwszem stadjum eksplozji — rusza pocisk z miejsca i nabiera tem większej szybkości, im więcej prochu w gaz się zamieniło.

Przy idealnej harmonji między długością lufy, ilością prochu i sile zapałowej spłonki, powinien proces zupełnego przeobrażenia się prochu w gaz skończyć się w chwili opuszczenia przez pocisk wylotu lufy.

Wówczas osiąga pocisk przy danej dawce prochu maksimum szybkości.

Ta idealna harmonja istnieje raczej w teorji; w praktyce spotykamy częściej, że nie cała dawka prochu ulega spaleniu. Jest to jedna z rozlicznych przyczyn, które powodują różnice między pojedyńczemi strzałami.

Tak wygląda strzał bezdymnym prochem, o ile chodzi o proces wewnątrz lufy.

Bezdymnych prochów śrutowych istnieje obecnie na świecie ogromna ilość: Naogół można je podzielić na dwie zasadnicze grupy, a to:

a) p ł a t k o w e — o formie cieniutkich płytek lub talerzyków

b) g r a n u l o w a n e — o formie ziarnek.

Istnieją jeszcze inne formy, jak: nitki, laseczki, bryłki, cylindry i t. p., ale te nie są u nas dotąd używane.

Do niedawna strzelano w Polsce prawie wyłącznie niemieckim bezdymnym prochem śrutowym marki „Rottweil", — zaś francuskie, belgijskie, angielskie i amerykańskie prochy spotykaliśmy u nas bardzo rzadko i to zwykle w gotowych nabojach.

Od czasu jednak, jak zaczęto u nas fabrykować doskonałe własne prochy śrutowe — przeszli myśliwi prawie zupełnie na prochy krajowe.

Pominę więc opis zagranicznych fabrykatów i ograniczę się do zaznajomienia Sz. Czytelników ze śrutowemi bezdymnemi prochami, wyrabianemi w Polsce.

To ostatnie uważam choćby z tego względu za konieczne, że — jak to osobiście wielokrotnie stwierdziłem — wielu naszych bardzo poważnych myśliwych ciągle jeszcze nie rozróżnia ich należycie.

Dotąd wyrabia się w Polsce dwa gatunki bezdymnego prochu śrutowego a to:

1. „SOKÓŁ", wyprodukowany przez Państwową Wytwórnię Prochu w Zagożdżonie,

2. „ŁOŚ", wyrabiany w Boryszewskiej Fabryce sztucznego jedwabiu w Boryszewie.

„Sokół" jest prochem żelatynowanym i dość silnie grafitowanym, płatkowym, koloru popielatego o błyszczącej, gładkiej powierzchni.

Jest naogół — co się siły tyczy — równy niemieckiemu „Rottweilowi", mniej jednak wrażliwy na wilgoć i wysuszenie; wywiera na ściany lufy stosunkowo niskie ciśnienie i wykazuje w napięciu gazów najmniejsze ze wszystkich pokrewnych prochów odskoki od przeciętnej normy.

Średnie ciśnienie na ściany lufy i szybkość początkowa Vo. są w ładunkach, przepisowo i dokładnie zrobionych, mniejwięcej, jak przy niemieckim prochu „Rottweil", t. j. około 400 — 500 atm., względnie około 375 m/sek..

Zalicza się go raczej do prochów trudno zapalnych; jest on — co się zdolności zapalenia tyczy — dostosowany do silnej spłonki niemieckiej „Gevelot" marki Utendorffer, lub równie silnej spłonki Warszawskiej Spółki Myśliwskiej, oznaczonej literami W. S. M., względnie spłonki „Gevelot" z zakładów „Pocisk", najnowszego wydania, t. j. z roku 1931 (!).

Wszystkie inne spłonki, czy to francuskie, czy belgijskie, czy też dawniejsze fabrykaty zakładów „Pocisk" są zasadniczo za słabe, aby zawsze i pewnie wywołać zupełne spalenie się dawki prochu „Sokół".

Używanie przez laików i dyletantów słabych i niewłaściwych spłonek — m. in. spłonek zakł. „Pocisk" dawnych seryj — było powodem niewypałów, niedopałów i zaciągów, na które jakiś czas się uskarżano.

„Łoś" jest prochem, którego zewnętrzny wygląd (porowata powierzchnia płatków, kolor żółtawo-bronzowy) przypomina bardzo niemiecki proch „Rottweil" tak, że laikowi dość trudno odróżnić te dwa gatunki prochu.

Co się tyczy jego właściwości — to przypomina on w przybliżeniu najnowsze śrutowe prochy amerykańskie, odznaczające się dużą siłą i prężnością np. proch „Du Pont Oval Shotgun Powder" z charakterystyczną uwagą na pudełkach:

„The weights of charge given in this table are the maximum which are safe to use. Theyare only recommandet for use in High-grade Smokeless steel shotgun barrels of modern construction. Du Pont Oval schould not be used in cheap guns designed solely for black powder or in muzzkloading guns".

Osobiście odniosłem wrażenie, że dawki, przepisane na puszkach z prochem „Łoś", są dla rozmaitych kalibrów nieco za wysokie; obniżenie ich o 0,1 gr. uważałbym za godne wzięcia pod uwagę.

„Łoś" jest prochem naogół łatwo zapalnym, wykazuje wprawdzie przy normalnie robionych nabojach ciśnienie na ściany lufy i szybkść początkową — równą mniejwięcej „Sokołowi" lub „Rottweilowi", ale odskoki jego od średniej wartości są przy różnych serjach dość duże i odbiegają bardziej od niej, niż obydwa wyżej wymienione gatunki prochów.

Proch „Łoś" jest przedewszystkiem niezmiernie

wrażliwy na wszelkie błędy w kierunku elaboracji nabojów i reaguje na nie dość poważnie.

Od czasu do czasu daje się słyszeć skarga, że gdzieś komuś nabój z prochem bezdymnym uszkodził strzelbę. Skrupulatne badania każdego (do wiadomości doszłego) wypadku wykazały, że przyczyną była zawsze nieprawidłowość w sporządzaniu ładunku, użycie prochu zepsutego przez niewłaściwą konserwację, a nieraz strzelanie ze strzelby słabej konstrukcji, nieostrzelanej wogóle na proch bezdymny.

Dla poparcia powyższego twierdzenia odnośnie do nieprawidłowości w sporządzaniu ładunku, przytoczę następujące cyfry.

Przy badaniu pewnego wypadku rozsadzenia strzelby, wywołanego wadliwie elaborowaną amunicją — zrobiono umyślnie obok pewnej ilości normalnych nabojów — także anormalne, kopjując dokładnie te błędy, jakie wykazywała serja ładunków, które rozerwanie strzelby spowodowały. Użyto do tej próby prochu „Sokół" i „Łoś". Rezultaty uwidocznia niżej podana tablica:

Naboje w kal. 12	Ilość prochu	Ilość śrutu	Przeciętna szybkość V^{15}	Ciśnienie na ściany lufy w atm.	
				przeciętne	maksymalne
„Sokół"	2,49 gr.	35 gr.	325 m/sek.	1.050 atm.	1.159 atm.
„Łoś"				1.142 atm.	1.354 atm.

Tabela ta przemawia tak przekonywująco cyframi, że uważam wszelkie dalsze komentarze za zbyteczne; z niej widać, jak dalece proch „Łoś" jest wrażliwy na błędy w elaboracji.

(C. d. n.).

INŻ. WALERY MARYAŃSKI
gen. bryg. w st. sp.

ZE STOWARZYSZEŃ ZWIĄZKOWYCH.

ROCZNE ZGROMADZENIE KOŁA MIŁOŚNIKOW ŁOWIECTWA W WARSZAWIE.

(Skrót protokółu).

W dniu 14 maja r. b. w lokalu Pol. T-wa Łowieckiego, w/m. Uowy-Świat 35, odbyło się doroczne Walne Zwyczajne Zgromadzenie członków Koła Miłośników Łowiectwa, przy udziale 29 członków i zaproszonych gości, znanych działaczy na polu łowiectwa, p. Walentego Garczyńskiego—Redaktora „Łowca Polskiego", p. Hermana Knothego — Konsultanta do spraw łowieckich w Naczelnej Dyrekcji Lasów Państw. i p. Wacława Szperlinga — Prezesa Wydziału Wykonawczego P. Z. S. Ł.

Zgromadzenie zagaił Prezes Zarządu, p. J. Skrzypek, i stwierdził, że, stosownie do art. 25 statutu zatw., zebranie jest prawomocne, — przywitał gości i podziękował obecnym członkom, za liczne przybycie. Następnie zwrócił się z apelem do członków, aby zechcieli współpracować z Zarządem dla dobra łowiectwa, a przez to przyczynić się do konsolidacji i dalszego rozwoju Koła.

Wybrano przez aklamację na Przewodniczącego zebrania p. inż. Konstantego Jakimowicza, na asesorów: b. Prezydenta Rzplitej, p. Stanisława Wojciechowskiego, p. inż. Ludwika Szmida i p. adw. Wacława Pęskiego, na sekretarza — p. adw. Al. Tallen-Wilczewskiego.

Po odczytaniu przez Przewodniczącego porządku dziennego i przyjęciu go przez zebranych, został odczytany protokół z ostatniego rocznego zebrania, odbytego w dn. 28 maja 1931 r., który obecni przyjęli do zatwierdzającej wiadomości.

Prezes Zarządu, p. J. Skrzypek, złożył sprawozdanie z działalności Zarządu, za r. 1931/32.

W roku sprawozdawczym, oprócz częstych narad Prezydjum Zarządu, Zarząd odbył 7 posiedzeń plenarnych, na których załatwiono cały szereg spraw organizacyjnych, łowiecko - hodowlanych, terenowych, gospodarczych i administracyjnych.

Rok sprawozdawczy był okresem dalszej, wytężonej pracy nad rozwojem Koła i postawieniem go na możliwie wysokim poziomie, pracy nie mniej wytężonej, jak za lat ubiegłych.

Kancelarja Koła w roku sprawozdawczym załatwiła korespondencji według numerów dziennika 550, w tem do Władz i Urzędów listów 123, ogółem wysłano różnej treści okólników, zawiadomień, terminarzy polowań, komunikatów, etc. listów 1.530.

Narysowane zostały mapki terenów i rozesłane członkom.

Wiele trudów poświęcono walce z kłusownictwem i wnykarstwem, w roku sprawozdawczym wytoczono 34 sprawy, przyczem kłusownicy zostali ukarani grzywnami i aresztem.

Strażnikom z tego tytułu wypłacono 21 nagród regulaminowych, jak również za współdziałanie, kilka nagród funkcjonarjuszom policji państwowej.

Na terenach Koła kłusownictwo zmniejsza się, dzięki dozorowi terenów i bezwzględnemu wdrażaniu postępowania karnego w każdym wypadku przyłapania kłusownika, lub wnykarza.

W roku sprawozdawczym powiększono liczbę strażników do 17, wychodząc z założenia, że podstawowym warunkiem gospodarki łowieckiej musi być ścisły dozór i opieka nad zwierzyną.

Na terenach Koła powiększono ilość tablic ostrzegawczych: „Polowanie wzbronione" etc. do sztuk 115.

Zwierzyna w czasie mrozów i większych śniegów była podkarmiana — sarny i zające otrzymywały koniczynę, marchew i snopki owsa; dla dzików zużyto 1.000 kg. żołędzi, 1.800 kg. kartofli, 12 koni a dla wilków 14 koni, przez co uchroniono od zagłady conajmniej 50 sztuk różnej zwierzyny.

Niemałą troską Zarządu było w dzisiejszych cza-

sach wzmagającego się kryzysu gospodarczego, gdy szereg poważnych, starszych towarzystw wegetuje, bądź likwiduje się całkowicie, lub częściowo, aby Koło w tych ciężkich czasach nic nie uroniło ze swego stanu posiadania.

W okresie sprawozdawczym powiększono jeszcze tereny Koła dobraniem około 6.000 ha, ogółem na 1.IV r. b. Koło dzierżawi 43 tereny wiejskie i 4 rządowe, o obszarze łącznym 31.170 ha.

Pomimo posiadania tak wielkich obszarów, względnie zasobnych, frekwencja członków jest bardzo nieduża, co przypisać należy ogólnemu zubożeniu.

Sprawozdanie z działalności obejmowało jeszcze szereg spraw gospodarczych, hodowlano-łowieckich i organizacyjnych.

W roku sprawozdawczym zaznaczył się dość duży ruch, wypisało się 12 członków, nowych członków zapisało się 19, w tej liczbie zaszczycił Koło zapisaniem się b. Prez. Rzpl. p. Stanisław Wojciechowski — zapisali się pp. Dyr. Bartkiewicz Bolesław, Dyr. Bułhak Antoni, Minister peł. Bader Karol, Referent łowiectwa M. R. Cierpiński Michał, attache wojsk. St Zjedn. A. P., Major Yeager Emer, Dyr. Klimpel Witold, Kemnitz Edward, attache Ang. Pułk. Rowan Connal, Inż. Stankiewicz Edward, Dyr. Stelinski Edward, Prez. Szynkman Stanisław, Inż. Szmid Ludwik, Dyr. Smoleński Jan, Radca woj. Stalewski Kazimierz, Wilhelmi Eugenjusz.

W zakończeniu, Prezes J. Skrzypek zreferował Walnemu Zgromadzeniu do aprobaty wnioski Zarządu w sprawie czasowego urlopowania członków.

Łowczy Koła, p. dr. M. Małachowski, przedstawił dane statystyczne za ostatni rok łowiecki, porównując je z rezultatem ubiegłych sześciu lat, przyczem udowodnił cyfrowo znaczne polepszenie się stanu zwierzyny. Rozkłady mogłyby być znacznie lepsze, gdyby nie okoliczność, że członkowie bardzo nielicznie brali udział w polowaniach Koła.

Upolowano zajęcy 351, kuropatwy 1.072, kaczek 289, głuszców 9, słonek 9, dzików 3, wilków 4, lisów 7, bataljonów 17, różnych 147.

Następnie Skarbnik Koła, p. dr. L. Jastrzębski, przedstawił stan kasy na dzień 1 kwietnia 1932 r. w dochodach zł. 20.629,05, w rozchodach zł 20.442,87, saldo w kwocie zł. 186,18 przenosi się na rok następny.

Imieniem Komisji Rewizyjnej, p. prof. Józef Gieysztor odczytał protokól tejże Komisji, stawiający wniosek o udzielenie Zarządowi absolutorjum z jego działalności w roku sprawozdawczym.

Po przeprowadzeniu ogólnej dyskusji nad przedstawionemi sprawozdaniami Zarządu, Walne Zgromadzenie powyższe sprawozdania przyjęło do wiadomości, udzieliło Zarządowi absolutorjum z działalności w roku sprawozdawczym, wyrażając jednocześnie podziękowanie za ofiarną pracę.

Następnie, w myśl wniosku Zarządu, Walne Zgromadzenie odznaczyło żetonem pamiątkowym Koła M. Ł. p. Józefa Płodowskiego, za długoletnią pracę jego na stanowisku gospodarza terenów dziewulskich.

Następnie Walne Zgromadzenie zatwierdziło przedstawiony przez Prezesa, p. J. Skrzypka, preliminarz budżetowy na rok 1932/33, zamykający się sumą zł. 22.036,18, przeznaczając na:

1. Składki obowiązkowe do P. Z. S. Ł. do M. T. O. Żubr. Inst. Łow. i Tow. Ochr. Łosia	zł.	330.—
2. Tenuty dzierżawne terenów i podatki gminne	„	9.757.18
3. Pensje strażników i nagrody za zwalczanie kłusownictwa	„	5.320.—
4. Karmę dla zwierzyny, inwestycje łow. i odszkodowania	„	5.148.—
5. Kancelaryjne i różne	„	1.340.—
6. Kapitał zasobowy	„	141.—
Ogółem	zł.	22.036.18

W załatwieniu punktu następnego Walne Zgromadzenie zatwierdziło następujące wnioski Zarządu:

a) urlopowanie członków na pewien okres, z warunkiem uprzedniego, 2-letniego czynnego członkostwa;
b) zmianę polowań zajęczych kotłowych na pędzone, z tem, że polowanie w kotły zupełnie zostaje skasowane w Kole Miłośników Łowiectwa;
c) obowiązkowe dochodzenie postrzałków, przyczem Łowczy winien wydawać odnośne zarządzenia; zalecono również zabierać dobrze ułożone psy-tropowce;
d) przyjęto regulamin Rady Hodowlanej i wybrano na członków Rady pp. Ministra Badera Karola, Prof. Gieysztora Józefa i Inż. Szmida Ludwika;
e) uchwalono utworzenie funduszu zasobowego, przeznaczając na ten cel wpływy z kar za nieterminowe wpłacanie składek członkowskich;
f) na wniosek pp. Bartkiewicza i Bułhaka, postanowiono pobierać w trzech kwartałach roku bież. od członków po zł. 10 dopłaty na zapewnienie wykonalności budżetu i na wniosek Mec. A. Tallen-Wilczewskiego, obracać na ten cel pozostałości z rozpłat na zbiorowych polowaniach.

Walne Zgromadzenie dokonało wyborów uzupełniających do Zarządu: na członka Zarządu — p. Mec. Al. Tallen-Wilczewskiego, na sekretarza — p. Prof. Kazimierza Tołłoczkę, na zastępcę sekretarza — p. Dyr. Witolda Klimpla.

Do Komisji Rewizyjnej zostali wybrani pp. Inż. Alojzy Dąmbski, Prof. Józef Gieysztor i Mec. Wacław Pęski.

Wobec niezgłoszenia wolnych wniosków, Przewodniczący podziękował p. Prezesowi J. Skrzypkowi za jego ofiarną pracę dla Koła i zebranie zamknął.

W imieniu zebranych, Prezes Koła podziękował Przewodniczącemu, p. Inż. K. Jakimowiczowi, za sprężyste prowadzenie obrad.

Po zebraniu, odbyła się biesiada towarzyska, z udziałem zaproszonych gości.

Na przemówienie Prezesa J. Skrzypka na cześć gości Koła, a wiele drogich sercu myśliwego, Apostołów Hubertowskich, pp. Redaktora W. Garczyńskiego, Inż. H. Knothego i Prezesa W. Szperlinga, odpowiedział w imieniu tychże p. Inż. H. Knothe, podkreślając ogrom prac Koła dla dobra łowiectwa i życząc Kołu najlepszego rozwoju.

Sekretarz:	Przewodniczący:
(—) A. TALLEN-WILCZEWSKI	(—) K. JAKIMOWICZ

TOWARZYSTWO ŁOWIECKIE ZIEM WSCHODNICH DO MYŚLIWYCH.

Przeżywamy wszyscy ciężki kryzys. Kryzys jest tak dalece ciężki, że już sam wyraz „kryzys" nie działa na nas. Otrzaskaliśmy się z tym wyrazem.

Przeżywa również i łowiectwo swój kryzys. Jednak kryzys w łowiectwie jest o tyle swoisty, że nie oznacza bynajmniej, by myśliwi zrezygnowali z kart łowieckich i zawiesili flinty na kołku! O, nie! Statystyka wykazuje, że kart łowieckich w r. 1932 wydano więcej, niż w roku ub. Co to znaczy?

To znaczy, że myśliwi nadal polują, nadal zabijają zwierzynę, nadal wydają na naboje, koszty naganki, dzierżawę terenów i t. p. Zwierzyna więc nie odczuła dobroczynnych być może dla niej skutków kryzysu, zwłaszcza, że kłusowników kryzys nie dotknął.

Kryzys odczuły:

Towarzystwo Łowieckie Z. W., którego członkowie zalegają ze składkami członkowskiemi.

Organ tego T-wa—„Trąbki Myśliwskie", które trąbią już tylko raz na dwa miesiące, a wkrótce może wogóle brzmieć przestaną.

„Łowiec Polski", który traci prenumeratorów, i może już jutro zamienić się z tygodnika w dwutygodnik, a pojutrze... Wolimy nie robić zbyt czarnych horoskopów!

Myśliwi! W poczuciu powagi chwili zwracamy się do Was z apelem. Jeżeli nie chcecie, by Tow. Łowieckie ziem Wschodnich i jego „Trąbki" zamarły, by Polska cała utraciła jedyny centralny organ prasy łowieckiej, zapisujcie się do T. Ł. Z. W. i opłacajcie składki regularnie! prenumerujcie „Łowiec Polski".

Jeżeli stać Was na kupno setki ładunków, to chyba potraficie ponieść drobny wydatek dobrowolny na ołtarzu Św. Huberta!

Pamiętajcie, że losy kultury łowieckiej w Waszych rękach spoczywają, że kulturalny myśliwy musi przecie czemkolwiek różnić się od kłusownika.

ZARZĄD TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO
ZIEM WCHODNICH.



Z podjazdu w pomorskich lasach państwowych.
Fot. K. Plihal.

Z DZIEDZINY BIBLJOGRAFJI.

Katalog Wystawy polskiej książki kinologicznej, urządzonej we Lwowie w dniach 24, 25 i 26 czerwca 1932 (łącznie z wystawą psów rasowych, w czasie XII targów wschodnich). Ułożył i wstępem opatrzył Witold Ziembicki. Lwów 1932. Wydawnictwo Komitetu Wystawowego. Nakładem Zarządu Targów Wschodnich.

O charakterze tego wydawnictwa najlepiej informuje słowo wstępne. Czytamy w niem: „Wystawa polskiej książki kinologicznej jest przedsięwzięciem pierwszem w swoim rodzaju. Gromadzi ona samoistne druki, traktujące o psie, a więc wydawnictwa książkowe i broszurowe, traktujące o psie od czasów najdawniejszych, t. j. począwszy od wieku XVI, aż do chwili obecnej, z uwzględnieniem wszelkich zagadnień, z psem związanych, jak: pochodzenie, historja, rasy, hodowla, tresura, użytkowanie, życie psa, choroby, dalej słownictwo, podania, przysłowia i t. d., i t. d., wreszcie literatury pięknej, wraz z piśmiennictwem dla młodzieży i dzieci. Zasadą przewodnią było zebranie tylko takich książek, które albo wyłącznie są psu poświęcone, albo zawierają ważniejsze rozdziały z tego zakresu, jak np. rozmaite podręczniki hodowlane, myśliwskie, albo np. stare zabytki drukarskie o charakterze encyklopedyczno - gospodarskim. Podobnież z beletrystyki wzięto tylko takie wydawnictwa, w których pies jest głównym, lub jednym z głównych bohaterów".

Katalog ten jest jednocześnie, jeśli nie wyczerpującem, to w każdym razie wysoce wartościowem zestawieniem polskiej literatury kinologicznej. Obejmuje on 206 pozycji książek polskich, 17 — obcych. „Wyjątek uczyniono tu dla takich autorów, jak Oberländer, dla przedstawienia oryginału, popularnego w polskim przekładzie, albo dla niektórych, posiadających w polskim wybitne analogje, jak z klasyków Du Fouilloux, a z nowych Pergaud, znawca „duszy zwierzęcej".

Z obowiązku krytyka zaznaczyć muszę, że brak jednak w katalogu (to znaczy brak było na wystawie) niektórych książek, które powinny się były tam znaleźć. Tak więc J. Sztolcmana „Łowiectwo" reprezentowane jest tylko przez drugie wydanie. Brak zupełnie J. Rostafińskiego „O myślistwie, koniach i psach łowczych". Są również pewne braki w literaturze starszej (wiek XV, XVII i XVIII), to jednak jest zupełnie zrozumiałe, jeśli się zważy trudności, towarzyszące organizowaniu takiej wystawy. Te drobne usterki nie umniejszają zupełnie zasług prof. Ziembickiego, jako organizatora wystawy i autora katalogu.

Jako wystawcy figurują: Muzeum Dzieduszyckich, Zakład Etnologji Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, kapitan Józef Kobylański, Księgarnia Zakładu Ossolińskich, Bibljoteka Ossolińskich, Małopolskie Towarzystwo Łowieckie, major dr. Aleksander Perenc, prof. Jan Smetański, Bibljoteka Akademji Weterynaryjnej i prof. dr. Witold Ziembicki.

Więcej niż połowa wystawionych książek pochodzi ze wspaniałej bibljoteki myśliwskiej prof. Ziembickiego. Nie miejsce tu na rozpisywanie się o bogactwach tych zbiorów, które w Polsce nie mają sobie równych. Zaznaczyć tylko należy, że właśnie dzięki ich bogactwu, mógł prof. Ziembicki taką wystawę we Lwowie urządzić. Ukoronowaniem tej pracy jest omawiany katalog. Już pierwszy rzut oka daje nam poznać, że był on opracowany i wydany przez znawce i bibljofila o wysokiej kulturze.

Szata zewnętrzna jest pierwszorzędna. Dobór papieru, czcionków, podobnie jak cały układ książki, godne najwyższego uznania. Kilka reprodukcyj kart tytułowych i drzeworytów z książek wieku XVI, XVII i XVIII zdobi katalog w sposób dyskretny, a nadający mu tem większą wartość estetyczną.

JANUSZ DOMANIEWSKI.



DOROCZNY POKAZ TROFEÓW ŁOWIECKICH.

Drugi z kolei doroczny pokaz trofeów łowieckich w Warszawie odbędzie się w roku bież. w pierwszych dniach listopada.

Pokaz obejmować będzie trofea, zdobyte w ciągu roku 1931 i 1932 do dnia 1 listopada, a mianowicie: wieńce jeleni, łopaty łosi, poroża sarn, szable dzicze i inne wyróżniające się eksponaty. Prócz tego miejsce na pokazie znajdą wykresy i zestawienia statystyczne, jak w roku ubiegłym.

Na pokazie wystawione być mogą trofea, rzeczywiście wybitnie wyróżniające się pięknem i rzadkością.

Bliższe informacje ogłoszone zostaną później.

ZNOWU ZABICIE BOBRA.

Dnia 30 kwietnia r. b. zastrzelił gospodarz, Paweł Krueger, w miejscowości Ruda (pow. Oborniki woj. Poznańskie), na rzece Wełnie — bobra, który w niewyjaśniony sposób wydostał się ze sztucznego żeremia w państw. nadleśn. Bucharzewo.

Starosta w Obornikach skonfiskował bobra i oddał go do spreparowania, a sprawcę niefortunnego strzału przekazał do ukarania sądowi.

Na rozprawie w sądzie grodzkim w Rogoźnie, w dn. 16 ub. m. ukarany został gospodarz Paweł Krueger, z Rudy za zastrzelenie bobra grzywną 1.000 zł. z zamianą na 50 dni więzienia i konfiskatę broni oraz kosztów przewodu sądowego. Obrońca Kruegera zapowiedział odwołanie od powyższego wyroku.

KALENDARZYK MYŚLIWSKI

W lipcu polować wolno: przez cały miesiąc—na sarny - kozły oraz na zwierzęta, wymienione w art. 50 prawa łowieckiego, na które polowanie dozwolone jest przez cały rok, a mianowicie na wilki, dziki, wydry, kuny domowe (kamionki), tchórze, gronostaje, łasice, króliki, jastrzębie-gołębiarze, krogulce, sroki i wrony;

od 11-ego lipca — na bataljony;

od 16-ego lipca — na dzikie kaczory, dzikie kaczki (samice i młode) oraz na inne ptactwo wodne i błotne.

Na wszelką inną zwierzynę w lipcu trwa nadal czas ochronny.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. **ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.**

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.



Tow. Hodowli Psów Myśliwskich

ZAKŁAD
hodowli i tresury psów myśliwskich
ŻÓŁTA KARCZMA W SŁUŻEWIE
tel. 8. 55. 84

(dojazd tramwajem 12. 19 i 1, ewentualn. samochodem)
Konto P. K. O. 207-15

Pensjonat dla dorosłych psów, tresura, wychów szczeniąt, kopulacja, pośrednictwo przy sprzedaży

Obniżenie cen: kompletna tresura zł. 150, utrzymanie psa w pensjonacie miesięcznie zł. 40.

Informacje u kierownika Żółtej Karczmy p. Kowaluka lub u gospodarza zakładu p. A. Brudnickiego Krucza 34, skład apteczny telef. 851-14, do godz. 2 pop.

OGŁOSZENIA DROBNE

Jeleni kapitalnych odstrzał do oddania. — Zgłoszenia przyjmuje Zarząd Dóbr Stanisława hr. Potockiego, Komańcza, pow. Sanok.

Szczenięta niemieckie krótkowłose 12 tygodni po importowanych rodzicach Tanna von der Glücksbur Rheinlads-Droll. pieski 50.— zł. suczki 40.— zł. Kurnatowski, Dusina p. Gostyń Wlkp.

Szczenięta wyżły niemieckie ostrowłose, po psach polowych, tanio do sprzedania. Wiadomość w administracji „Łowca Polskiego".

Wyżeł szorstkowłosy **„Grom"** z rodowodem w 3 polu cięty na drapieżniki, nagrodzony na popisach najwyższą nagrodą — Patrz „Łowiec Polski" № 39 rok 1931. Sprzedam za 450 złotych. Psy surowe zawsze do nabycia. Poczta Bolesław, leśniczy p. Skoki, Rościnno — poznańskie.

Dominium Białaczów,
powiat Opoczyński

wydzierżawi tegoroczny sezon polowania. Spodziewany rozkład około 2500 sztuk. Szczegóły w administracji miejscowej.

ZIEMIA

Krzewi umiłowanie ziemi ojczystej.
Omawia metody i drogi pracy krajoznawczej.
Podaje opisy krajobrazów, bogactw naturalnych, miast, miasteczek, wsi.
Informuje o pracach, mających na celu poznanie kraju.
Propaguje ochronę przyrody i zabytków.
Zamieszcza wskazówki turystyczne.
Prowadzi stałą kronikę krajoznawczą, turystyczną, konserwatorską i muzealną.
Rozpatruje literaturę krajoznawczą i turystyczną.
Ilustruje licznemi zdjęciami fotograficznemi wszystkie artykuły.

20-ty rok istnienia pisma świadczy o jego potrzebie.

Prenumerata wynosi: kwartalnie zł. 7.50, rocznie zł. 29.—

WARSZAWA, KAROWA 31. TELEFON 642-50.
KONTO P. K. O. 2222.

JAN SZTOLCMAN

JAK UNIKAĆ WYPADKÓW Z BRONIĄ?

NAKŁADEM CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH. BROSZURA NIEZBĘDNA NIETYLKO DLA MYŚLIWYCH, ALE TAKŻE DLA WSZYSTKICH POSIADACZY BRONI

DO NABYCIA
W SKŁADACH BRONI
i REDAKCJI „ŁOWCA POLSKIEGO"
CENA 25 GROSZY.

Prośba o fotografje.

Redakcja „Łowca Polskiego" prosi PP. Myśliwych, posiadających ciekawe zdjęcia myśliwskie, o nadesłanie tychże Redakcji do użytku bieżącego.

Prosimy o podawanie nazwisk osób, które dokonały zdjęć, w celu zamieszczenia ich pod fotografjami.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO"

WAŻNE DLA PP. PRENUMERATORÓW.

POSIADAMY jeszcze na **składzie niewielką ilość** numerów pojedyńczych **„Łowca Polskiego"** od początku roku bieżącego.

Pp. Prenumeratorom możemy w ciągu bieżącego miesiąca wysłać żądane numery pojedyncze w cenie po 1 zł.

Nowoprzybywający Pp. Prenumeratorzy otrzymać mogą komplet numerów **„Łowca Polskiego"** za pierwsze półrocze r. b. w cenie zł. 25.

Posiadamy również **ograniczoną ilość** roczników **„Łowca Polskiego"** z lat 1927, 1928, 1929 i 1930, w cenie złotych 50 za kompletny rocznik.

Przy zamówieniach prosimy wyraźnie żądane numery wyszczególnić.

Za przesyłkę pocztową dodatkowych opłat nie doliczamy.

ADMINISTRACJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.